

Rzeszów 1993-0

V/1117



Pan Marian Klajner
Bielsko-Biała 43-300
ul. M. Reja 21/10

Okręgowa Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi
Polskiemu-IPN w Rzeszowie potwierdza niżej wymieniony fakt
zbrodni popełniony przez władze sowieckie na obywatelach
polskich w latach II wojny światowej:

Marian Klajner s. Jarosława i Pauliny ur. 8.08.1914r. Porohy
w dniu 17.11.1944 roku został aresztowany przez NKWD i osadzony
w więzieniu w Krośnie, a następnie przewieziony do więzienia
w Rzeszowie. W styczniu 1945 roku przewieziony do Przemyśla,
a następnie przewieziony do miejscowości Uzłowaja rejon stalingo-
wski gdzie przebywał w łagrze do stycznia 1946 roku.

Fakt ten znajduje potwierdzenie w protokołach przesłuchań Świadków
Okręgowej Komisji w Rzeszowie sygn. Kpp. 31/93

Klejner
Marian Klajner

Szramowane Archiwum

Na Waszą prośbę przysłałem Wam swój pamiętnik z okresu
od 17.11.1944 r. do 1946 r. Opisano bardzo szczegółowo, gdyż wówczas
gdy pisałem ten pamiętnik, byłem pod obserwacją S.B.
Byłem uczestnikiem kampanii wrześniowej. Dnia 20.09.1939 r.
rozbiegaliśmy w wieś Hłostki, dalej się do miejscowości niemieckiej.
W listopadzie 1939 roku uciekłem z Niemcami z Krakowa.
Zatrzymałem się w Dynowie, celem postępowania tam.
W 1940 roku wiosną wstąpiłem w szeregi Armii Krajowej
oddział Lejny Dynów dowodzony przez Mjr. Józefa Marciniaka
pse. Żuraw. Dnia 15.08.1944 roku ujawniłem się w biurze likwidacji
partyzantki w Rzeszowie. Dnia 17.11.1944 jestem aresztowany
przez NKWD. Szramowane Archiwum bierze sobie obecne 49 lat,
O ile jesteście zainteresowani, że uczestniczyłem w walkach
września 1939 r. i oddziałach partyzanckich Armii Krajowej,
proszę mnie powiadomić chętnie udzielię wiadomości.

Bielsko-Biała dnia 11.03.1993 r.

Łączę wyrazy szacunku
z poważaniem
Klejner

Warunki w piwnicy, gdzie mnie przetrzymywano pogarszały się. Zrobiło się bardzo ciasno, gdyż zaczęli napływać nowi aresztowani. Siedzieliśmy i spaliśmy na zablokowanej, mokrej ziemi. Zawsze, gdy z niej wstawiałem ociekającą, ze mnie brudną maź. Ilu nas było w tej dziurze, trudno określić. Było tak ciemno, że nie można było się doliczyć. Każdy chciał stać koło drzwi, bo otworem od kłucza napływało nieco świeżego powietrza. Słabsi mdleli z jego braku, jeszcze inni hysterycznie wołali o ratunek. Po takich krzykach, biciach, butami o drzwi, otwierano je na moment. Dwóch NKWD-istów z psami stawało wtedy w nich z automatami skierowanymi na więźniów. Po 5 minutach zatraskiwano drzwi. Tę czynność powtarzali 3 razy dziennie.

Jedzenie dostawaliśmy raz na dobę. Była to kwaśna śmietana z lura. Nie wiedzieliśmy czy jest noc czy dzień, światło dzienne do celi nie docierało. Siedzieliśmy w bunkrze niepewni swej przyszłości. Myślimy byliśmy w domach rodzinnych. Pragnąłem choć we śnie ujrzeć swoją żonę, dowiedzieć się czy już urodziła dziecko. W głowie huczały mi słowa matki: „Idź synu z Bogiem i wracaj z Bogiem”. Widziałem tzy w oczach matki i żony. Wiedziałem już wtedy, że szybko do domu nie wrócę. Obawiałem się śmierci z wyczerpania lub z braku powietrza. Wszyscy byliśmy brudni, zarobaczeni, owrzodzeni, dokuczał nam smród własnych odchodów.

Po kilku dniach zachorowałem na zapalenie ucha środkowego. Czulem straszny ból w głowie. Na pomoc lekarską nie mogłem liczyć. Tymczasem z ucha wypływała zmieszana z krwią lepka maź. Biłem głową w mur, tak straszliwie mocny był ten ból. Myślałem nawet o odebraniu sobie życia. Kole-dzy pomagali mi jak mogli. Z funkcjonariuszy NKWD nikt się mną nie interesował. Po paru dniach wywołano czterech więźniów z bunkra, także i mnie. Załadowano nas na samochód i pojechaliśmy w kierunku Przemyśla. W sumie z więzienia krosnieńskiego zabrano czterema samochodami około 80 partyza-

ntów z AK. Nocą przywieziono nas do Przemyśla — Medyki.

Cały dworzec obstawiono wojskiem radzieckim. Było tam kilka tysięcy ludzi. Widocznie ściganu ich z innych części Polski. Żołnierze Armii Czerwonej ustawili nas w kolejce, która wiodła do stolika, przy którym rejestrowano zatrzymanych. Pilnowano by AK-owcy nie porozumiewali się między sobą. Po spisaniu danych osobowych kierowano więźniów do wagonów. Stojąc w długiej kolejce poczułem się bardzo słabo. Upadłem na ziemię. Gdy odzyskałem przytomność okazało się, że przeniesiono mnie do małego kantorku. Rosyjska lekarka zmierzyła mi temperaturę ciała, zbadała ucho. Powiedziała do oficera odpowiedzialnego za transport, że nie można mnie wprowadzać do wagonu, gdyż jestem chory. Mimo protestów dowódcy konwoju nie zabrano mnie do wagonu. Po odprawieniu transportu przyszedł do mnie oficer radziecki. „Pojedziesz z powrotem do Krosna, zabierzesz swoje dokumenty” powiedział. Zaprowadzono mnie do jakiejś szkoły w Przemyślu i kazano czekać w jednej z klas. Pilnował nas konwojent. Nas, bo między ławkami zauważyłem może 13-letniego chłopaka. Mimo gróźb konwojenta przybliżyłem się do chłopca. Początkowo spokojnie siedziałem obok niego, potem cicho spytałem: „Dlaczego tu jesteś”. „Mój ojciec był w partyzantce, w AK. Wzywała go bezpieka lecz on się nie zgłosił. Mnie zabrali z domu za ojca. Powiedzieli, że będę tak długo czekał, póki nie zgłosi się mój tato. Siedzę tu już trzy dni, rusecy przez cały czas mnie pilnują” — odpowiedział. Zapytałem czy ma otówek. Poszperał po kieszeniach i podał mi złamany. Wziąłem go do ust, ugryzłem, zdrapałem paznokciami drewnienko. Można było pisać, ale nie miałem żadnej kartki. Chłopak powiedział bym adres napisał na lawce, on to zapamięta. Tak też zrobiłem. Poprosiłem go by powiadomił żonę, że żyje. Obiecał, że jeżeli go wypuszczą, napisze do niej. W kilka dni potem żona otrzymała kartkę od nieznanego z Przemyśla. Był nim mój współwięzień.

Całą noc nie spaliśmy. Opowiadałem chłopcu moje przeży-

cia. Zastanawiałem się nad tym co mnie jeszcze czeka. Rankiem przyszedł po mnie oficer. Powiedział, abym poszedł po swoje dokumenty i pojechał do domu, bo oni leczyc mnie nie będą. Samochód już na mnie czekał. Wsiadłem na pakę, gdzie kaza-no mi usiąść na podłodze. Dwóch radzieckich konwojentów jechało ze mną. Gdy chciałem stanąć, aby rozprostować nogi i obolałe ciało zostałem uderzony kolbą karabinu. Czulem się fatalnie, chwilami omdlewałem. W takich sytuacjach trzeźwiono mnie uderzeniem nogi lub kolby. Skręcałem się z bólu, robiło mi się ciemno w oczach, z ucha ciekła ropa, w głowie pulsowało.

Samochód zatrzymał się w Dynowie. Kierowca, oficer i konwojent udali się do gospody. Został ze mną jeden żołnierz. Mimo jego ostrzeżeń próbowałem się przesunąć do burtki. Miałem nudności, chciałem wymiotować na zewnątrz. Dopiero kopniak przywołał mnie do porządku. Miałem zamiar wyskoczyć z samochodu, ale było to ponad moje siły. Po chwili do auta wsiadli najedzeni NKWD-ści. Ruszyliśmy. Wieczorem byliśmy w Krośnie. Z samochodu zaprowadzono mnie do ubikacji. Tam w smrodzie posiedzieliśmy około godziny. Straszliwy ból w głowie tak mi dokuczał, że wpadłem w szal. Ramieniem wywarzyłem drzwi, w wściekłym krzykiem „zabijcie mnie, a nie męczcie”, wpadłem na korytarz. Rosjanin, który pełnił służbę przed ubikacją kopniakami i kolbą zagonił mnie z powrotem. Po pięćnej chwili zawołano mnie do jakiegoś pokoju. Była tam rosyjska wojskowa lekarka. Obejrzała ucho i powiedziała, że trzeba do szpitala, ale na tym się leczenie zakończyło. Zaprowadzono mnie do tej samej piwnicy w której już byłem. Ukłakłem na kolana, szepiałem cicho: „Przynoszę Ci Matko mój cały ciężar cierpienia, spojrz nań, jako że przynosi Ci go żołnierz AK, który odważnie bronił wielkiej sprawy Polski, Tyś Matko Najświętsza, Tyś tarczą w każdej niebezpiecznej chwili, ulżyj mi w cierpieniach”. Po chwili zasnąłem.

MARIAN
KLEJNER

Nazajutrz Rosjanie wyprowadzili wszystkich do łaźni. Po umyciu rozdali jakiś śmierdzący płyn, kazano się nim smarować. Zniszczone wrzodami i świerzbem ciało strasznie mnie piekło. Z oczu i uszu lała się jakaś maź. Wielu moich kolegów nie wytrzymało. Padli na ziemię i zaczęli krzyczeć. Byliśmy pewni, że wprowadzono nas do komory gazowej. Gdy otworzono drzwi, za ręce i nogi wyciągnięto wszystkich spod przysznicza. Zabrano nam odzież. Powiedziano, że do prania. Potem rozdano nie wiadomo czyje lachmany i znowu zaprowadzono do piwnicy. Warunki życia pogorszyły się, straciliśmy bowiem swoje domowe ubrania. Już nigdy nie odzyskałem swetra, butów, ciepłych kaloszonów. Zabrali nawet koce.

Po paru dniach kilku więźniów wywołano z celi. Załadowano nas na samochód, gdzie byliśmy pilnowani przez pijanego konwojenta. Kierował ku więźniom lufę automatu i krzyczał „bandziory, nada wsiach wystrielać”. Samochód zatrzymał się w Strzyżowie. Pijany konwojent zeskoczył z burty. Nagle usłyszeliśmy przeraźliwy jazgot pepeszy zmieszany z krzykiem. Okazało się, że zeskakując z samochodu uderzył on kolbą w ziemię i władował sobie w brodę prawie cały magazynek. Rosjanie usunęli trupa z drogi. Ruszyliśmy w kierunku Rzeszowa. Po południu dowieziono nas do więzienia w zamku Lubomirskich. Wytadowano nas pod szpalerem psów. Każdego zaprowadzono do innej celi. Znalazłem się w pomieszczeniu nr 19, gdzie było już siedemnaście więźniów, a straż by-

ła polska. Dokuczalo mi zimno. Mimo dezynfekcji nadal miałem świerzb i wszy. W nocy nie mogłem spać, ból z ucha rozsadał mi głowę. Bilem nią o beton. Ból się wzmagal.

Następnego dnia podszedł do mnie starszy pan, także akowiec, nazwiskiem Pilch. Powiedział: „Koledzy, temu młodzieńcowi należy pomóc, bo on się wykończy na naszych oczach. Trzeba go stanowczo zgłosić do lekarza, bo inaczej będziemy go mieli na sumieniu”. Około ósmej rano roznoszono jedzenie. Gdy otworzono drzwi celi pan Pilch zameldował funkcjonariuszowi: „Mamy tu ciężko chorego trzeba się nim zaopiekować”. Żołnierz odpowiedział ironicznie: „A kto wam zabrania się nim opiekować” i zatrzaskał drzwi. Pan Pilch powiedział wtedy do młodego, zdrowego współwięźnia z Tyczyna Michała Wajdy: „Słuchaj Michał, ty jesteś zdrowy, o ile się chory zgodzi, nasikaj mu do uszu, może to coś pomoże”. Od tego dnia zaczęło się „leczenie”. Dwa razy dziennie moczem płukalem ucho, które później zauważyłem otrzymanym od kogoś szalikiem. Zabiegi te o dziwo poskutkowały i po paru dniach poczułem się lepiej. Ból głowy ustał, przestała się lać ropa. Istny cud.

W celi było nas osiemnaście w tym sześciu oficerów AK. Wszystkich aresztowano bez podania przyczyny. Ludzie z bezpieki mieli nad nami pełną władzę, mogli nas bić, poniewierać, głodzić. Nie mogli natomiast odebrać wiary w słuszność naszej walki, w to, że będziemy kiedyś wolni. W celi nie wolno było śpiewać pobożnych i patriotycznych pieśni, ani się mod-

lić. Gdy wartownicy usłyszeli coś podejrzanego, wyprowadzali ludzi na korytarz, ustawiali głową blisko ściany i bili. Siedzieliśmy w ciemnościach i myśleliśmy o tym co z nami zrobią, gdzie nas umieścą. Zawsze z niecierpliwością oczekiwaliśmy rana. Organizowano nam wtedy swoistą zaprawę. Wyprowadzano na korytarz i przeganiało tam i z powrotem, przy okazji kopiąc i bijąc pałkami po plecach. Okrzyki w stylu: „Wy ku..., akowcy pier...” były tylko pikantnym dodatkiem do tej „zabawy”. Do celi wracaliśmy zbici. O 8 godzinie dostawaliśmy „śniadanie” składające się z zupy ze zgnitych pastewnych buraków. Każdy dzień przynosił pogorszenie naszej sytuacji. Polacy wykorzystywali się na nas gorzej niż Rosjanie. Najgorzej traktowano oficerów AK. Wśród nas był jedynym młody chłopak, Kazik, który pochodził z Jawornika Polskiego. Trzymał się ze mną, bo pochodziliśmy z pobliskich miejscowości. Siedział za to, że znaleziono u niego w domu broń, o której jak sam twierdził, nic nie wiedział. Prawdopodobnie w 1943 roku ukrył ją tam jego ojciec partyzant. Kazik był bardzo spokojny, mało rozmawiał, był ogólnie lubiany przez wszystkich. Prawie każdego dnia zabierano go na przesłuchania. Był bity, żądano od niego przyznania się do tego, że karabin miał służyć walce z „oficjalnymi władzami”. Pierwszego dnia z przesłuchania przyczolgał się na czworakach. Był straszliwie zmaltretowany, miał połamane palce rąk, a stopy spalone drutem. Co chwilę tracił przytomność. Bardzo przeżyłem jego tragedię. Kazik otrzymał karę śmierci i został powieszony. Nigdy nie mogłem pogodzić się z myślą, że go stracono, przecież był młody, a przede wszystkim niewinny.

(cdn)

MARIAN KLAJNER